

Jerzy Spitzmuller i Armand Le Gay.

FABRYKANT MUMII.

9) Tłum. z francuskiego.

— Dobrze! pragnę pani przyznać słusznosc, chociaż zdaje mi się to zbyt pospiesznem. Za mało czasu upłynęło od chwili, kiedy pani widziała po raz ostatni swych lokatorów, do ich zniknięcia, co do którego nie mamy zresztą żadnych dowodów...

— Żadnych dowodów?

— Oprócz pani zeznania oczywiście... ale to nie wystarcza...

— Dobrze, a łóżka nietknięte? a kasetka pusta?...

— To są tylko proste przypuszczenia... Można je zwrócić przeciw pani...

— Jakto?

— Bez wątpienia... Klejnoty z kasetki zniknęły — to prawda, ale pan Bridgeton mógł je schować gdzieś indziej... co do łóżek — to nic prostszego — może państwo Bridgeton nie chcieli nocować w domu...

— Ale przecież widziałam, jak wracali!

— Niech pani przypuści, że to nie ja z panią mówię, ale sędzia śledczy. Co mu pani odpowie? Nic — niech mi pani wierzy — nie śpieszymy się z decyzją. Poczekajmy trochę, aż będziemy mieli jakiś dowód. Tak będzie rozsądniej. Jeżeli do jutra rana państwo Bridgeton nie zjawią się — niech pani zajdzie do mnie o tej samej porze. Wówczas coś obmyślimy.

I pan Maugron podniósł się, żeby dać do zrozumienia odzwiernej, że posłuchanie skończone.

Nagle rozmyślił się.

— Tymczasem — rzekł — może pani jedno zrobić — dać mi opis swych lokatorów.

— Doskonale! — zgodziła się pani Rouve pospiesznie.

I z właściwą sobie wymową opisała szczegółowo wygląd jubilera.

— Co do pani Bridgeton, to jeszcze łatwiej ją poznać. Ma ona twarz, której niepodobna zapomnieć. Można ją odróżnić wśród tysięcy, dzięki jej dziwnym jasno zielonym oczom, które bardzo oryginalnie wyglądają przy jasnych włosach. A te włosy — muszą się panu przyznać — włosy są farbowane...

— Jakto, farbowane? — zapytał p. Maugron, otwierając szeroko oczy.

— Ależ tak, panie komisarzu — ma niby blond włosy, ale jestem pewna, że jest brunetką. To można poznać po brwiach...

— Brunetka z zielonemi oczami? — zawołał komisarz, zrywając się. Czy pani jest tego pewną?

— Jakto — czy jestem pewną? — odparła pani Rouve, wzruszając ramionami.

Pan Maugron nie słuchał dalej. W umyśle jego powstało dziwne podejrzenie. Chwycił szybko łaskę i kapelusz i rzekł do odzwiernej.

— Muszę to zobaczyć. Proszę mi wskazać drogę. Przybywszy do mieszkania Bridgetonów — komisarz zaczął badać je z pewnego rodzaju zaciekłością. Przeszedł kolejno wszystkie pokoje, zajrzał do każdego kąta w nadziei, iż znajdzie jakiś ważny ślad.

Zawiódł się mocno. Nie znalazł nic, prócz sukni wieczorowej, którą pani Rouve poznała bez wahania, twierdząc, iż w niej to właśnie pani Bridgeton była poprzedniego wieczoru, gdy wracała z teatru.

Ale ten dowód potwierdził tylko zeznania odzwiernej, nie polepszając zresztą w niczem sprawy. P. Maugron wolałby, zamiast sukni znaleźć jakąkolwiek fotografię młodej kobiety, ale to mu się nie udało. Nie znalazł wogóle nic, co mogłoby mu dać jakieś wytłumaczenie. Bridgeton znikł — to było widoczne — i znikł w taki sposób, iż to przechodziło wyobraźnię. Co do dziwnych podejrzeń, dotyczących żony jubilera, to p. Maugron miał na drugi dzień zupełne potwierdzenie w depeszy, otrzymanej z Bostonu, z której okazywało się jasno, że jubiler wpadł w sidła podejrzaną awantury.

Jubiler z Bostonu, który — jak przypominamy sobie — miał polecić panią Ellen Ferrys i jej ciocię państwu Morgenstern — telegrafował, że nigdy nie znał tych pań nawet z nazwiska. Listu polecającego nigdy nie pisał.

Z drugiej strony dramatyczna historia o rozwodzie i samobójstwie męża pijaka, gracza, brutalą, okazała się zmyśloną od początku do końca.

Bankier, u którego miały być ulokowane kapitały młodej kobiety — oznajmił, że nigdy nie słyszał o podobnej klientce.

Wreszcie, po zebraniu dokładnych informacji od wszystkich, którzy znali bliżej panią Bridgeton — nie można się było już ludzi, że znowu miano do czynienia ze sławną kobietą o zielonych oczach, nieuchwytną współniczką Fabrykanta mumii.

Policja — jak zwykle w takich wypadkach — została oszukana i przyszła za późno. Usilne poszukiwania pozostały bez rezultatu. Tajemnicza awanturka musiała już być daleko i w jakiejś bezpiecznej kryjówce drwiła sobie z poszukiwań policji.

ROZDZIAŁ VII.

Akademia.

O godzinie ósmej rano, rozparty niedbale w otwartym automobiliu p. Ducroc pędził przez Pola Elizejskie. Było to wczesną wiosną. Na jasno błękitnym niebie płynęły drobne białe chmurki. Na drzewach pękały pączki, wypuszczając pierwsze listki, ptaki swiergotały wesoło; robotnicy, subjecci, urzędnicy biurowi, śpiesząc do pracy, zdawali się patrzeć radoziej na świat, tego wiosennego poranku, pełnego zapachów i podniecającej świeżości. Zimna, obojętna zwykle twarz szefa bezpieczeństwa wyrażała również radość. Wyływała ona jednak z innych pobudek. Powrót wiosny, zbudzenie się natury z długiego zimowego snu nie obchodziły nic pana Ducroc. Spieszył on na spotkanie, wyznaczone mu w cyfrowanej depeszy przez sławnego Sebastjana Blanca i to było przyczyną, że oczy jego błyszczały, a na twarzy malowało się radość na niej goszczące, głębokie istotne zadowolenie.

Okrążywszy łuk tryumfalny Gwiazdy, automobil skręcił w jedną z bocznych alei Lasku Bulońskiego i minawszy ulicę Chalgrin, zatrzymał się przed wspólnym domem, noszącym Nr. 26.

— Przepędzę tu prawdopodobnie cały ranek — rzekł prefekt do szofera, wyskakując z automobiliu. — Nie masz po co czekać. Przyjeżdż do biura punkt o drugiej.

P. Ducroc otworzył furtkę z kutego żelaza i małą aleją, wysadzoną krzakami różanemi, doszedł do wspólnego łoża portiera.

— Pan Durmoy? — zapytał odzwiernej w ciemno zielonej librey ze złotem guzikami, który wstał pospiesznie i skłonił się głęboko, odpowiadając z uszanowaniem:

— Pan Durmoy jest u siebie... Jeżeli pan szef bezpieczeństwa zechce pofatygować się...

P. Ducroc skinął głową i wszedł na schody. Gdyby ktoś chciał na niego czekać przy łożu odzwiernej, straciłby czas na próżno.

W kwadrans później schodami kuchennemi, wychodzącymi na ulicę Chalgrin, schodził jegomość o blond włosach i wąsach, ubrany w czapkę, wyglądający na lokaja z angielskiego domu.

Z rękami w kieszeniach, pogwizdując jakąś piosenkę, skręcił w Avenue de la Grande Armée. Skinął na przejeżdżającego fiakra i wsiadając, rzucił wczuicy adres:

— Ulica Richelieu, hotel des Landes.

Potem, podczas gdy powóz toczył się dość szybko w stronę Pól Elizejskich, jegomość zatarł ręce z radością i mruknął:

— No, dobrze idzie!

W niespełna kwadrans fiaker wjechał w ulicę Richelieu i zatrzymał się przed skromnie wyglądającym, niewielkim hotelem, na froncie którego umieszczony był czarny szyld z napisem złotemi literami:

„Hotel des Landes“.

Zapłaciwszy dorożkarza, jegomość wszedł do hotelu. Przeszedł szybko przez długi i wąski korytarz i nacisnął klamkę drzwi, znajdujących się w głębi. Przy otwieraniu tych drzwi rozległ się dźwięk dzwonka elektrycznego i natychmiast z biura hotelowego, położonego obok, wyszła szczupła, skromnie ubrana kobieta. Przyjrzała się uważnie przybyłemu i już otwierała usta, by zapytać, czego sobie życzy, gdy ten zrobił jakiś ruch ręką i kobieta zawołała, głęboko zdziwiona:

— Ach, to pan, panie... panie Thouvenet... nigdybym pana nie poznała!...

Ale przybyły położył palec na ustach, nakazując milczenie. Wówczas kobieta wbiegła do biura i przyniosła stamtąd klucz, który w milczeniu podała gościowi.

Pan Thouvenet wszedł na schody i zatrzymał się na szóstym piętrze, gdzie otworzył jeden z pokoi otrzymanym kluczem. Wszedłszy do pokoju, wychodzącego na ulicę Montpensier, zamknął za sobą starannie drzwi na klucz, poczem zdjął czapkę, odkleił wąsy i rzucił perukę. Ukazała się gładko wygolona twarz pana Ducroc.

— No, — rzekł, zażywając tabakę ze srebrnej

tabakierki, która go nigdy nie opuszczała w ważniejszych chwilach życia — trzeba wdziac teraz skórę pana Thouvenet, rentiera.

Z temi słowy otworzył wielką szafę ścienną, pełną najrozmaitszych ubrań i wyjął zniszczony garnitur marynarkowy, okrycie kasztanowego koloru i melonik z szerokimi brzegami.

— Kostium spacerowy tego dobrego pana Thouvenet — rzekł, śmiejąc się.

Poczem wyjął z półki, znajdującej się w szafie, lampkę spirytusową i spore pudełko, zawierające wszystkie przybory, potrzebne do charakteryzacji.

— Zróbmy najpierw twarz — ciągnął, wciąż uśmiechając się wesoło.

Włożył perukę ze sterczącą czupryną, nakleił gęste brwi, zasłaniające prawie zupełnie oczy i przypawił szeroką, krótką brodę.

— No — zawołał, przeglądając się z zadowoleniem w lustrze — oto wykapany pan Piotr Thouvenet. Pozostaje mi teraz tylko utyc i wszystko będzie w porządku.

Zdjąwszy ubranie, p. Ducroc wciągnął na siebie kostium gumowy, podobny do trykotu i przylegający szczelnie do szyi i u końców nóg i rąk. W otwór, znajdujący się w tym dziwnym stroju, wkrcił pompkę automobilową i począł wpompowywać do wnętrza powietrze. W kilka chwil trykot gumowy napęknął się i p. Ducroc, włożywszy na to kostium marynarkowy, wyglądał na otyłego jegomościa z solidnym brzuszkiem.

Zarządzająca hotelem, wyjrawszy z biura na odgłos kroków — otworzyła szeroko oczy ze zdumienia, widząc p. Thouvenet tak zmienionego.

— Udało mi się po raz drugi — mruknął p. Ducroc, skręcając na ulicę Valois, nie zadając sobie nawet trudu obejrzenia się, tak był pewny, iż nikt go nie śledzi.

Na placu Palais Royal wszedł do omnibusu i w dwadzieścia minut później wysiadł z niego na placu włoskim. Stąd rozchodziło się kilka ulic. Prefekt zastanowił się przez chwilę i ruszył ulicą de la Soeur Rosalie. Przeszedłszy całą jej długość — zagłębił się w sieć wąskich, krzywych uliczek, pełnych szynków, nor najbardziej podejrzanych, w których nocami na równi z winem — krew lała się obficie. Na jednym z takich zaułków zatrzymał się przed starym jednopiętrowym domem z facyatkami.

Tu mieścił się szynk, nazwany niewiadomo przez kogo i niewiadomo kiedy „akademią“. Nazwa ta utrzymała się i utarła między apaszami i złodziejami tej dzielnicy, którzy schodzili się między dzieśiątą wieczór i trzecią z rana.

Twierdzono, iż dzięki tolerancji policji zakład ten często był otwarty przez całą noc i że właściciel jego, dawny agent policyjny — pozostawał w tajnych stosunkach ze służbą bezpieczeństwa. P. Ducroc pchnął bez wahania drzwi szynku i znalazł się w niskiej sali, o suficie zakopconym, napełnionej duszącymi wyziewami alkoholu i dymu tabacznego.

W sali, oprócz zuawa-urlopnika — nie było gości.

Wysoki drab z twarzą gładko wygoloną i krótko ostrzyżonymi czarnymi włosami mył podłogę.

Przy wejściu p. Ducroca — podniósł głowę, przyjrzał się szybko i bacznie przybyłemu, przy czem wargi jego poruszyły się nieznacznie, jak gdyby powstrzymując uśmiech.

W rogu sali, przy stole pod oknem siedział olbrzymi mężczyzna, zającąc ze smakiem kawał chleba ze serem i popijając to obficie białem winem. Tak był zajęty swem śniadaniem, że nie odwrócił się nawet na odgłos otwieranych drzwi. P. Ducroc podszedł doń i uderzył silnie po ramieniu:

— Cóż to, ojcze Bazoche, już się nie wita do brych znajomych?

Olbrzym odwrócił się powoli, żeby zobaczyć, kto pozwala sobie na podobne żarty i odparł.

— Niech mnie dyabli wezmą, jeżeli znam pana!

— No — ciągnął szef bezpieczeństwa tonem wymówki — nie widzimy się co prawda często... Ostatni raz było to przed dziesięcią laty... Do licha, nie zawsze można sobie pozwolić na podróż do Paryża. Środki ograniczone... No — ale w każdym razie pochodzimy obaj z jednych stron, ojcze Bazoche.

— Z jednych stron?... — zapytał szynkarz, robiąc nadludzkie wysiłki, żeby wydobyć z mroków zapomnienia tę twarz.

— No tak — ciągnął prefekt... Niech pan sobie przypomni małego Thouvenet...

— Małego Thouvenet? — powtórzył Bazoche, przyglądając się w osłupieniu otyłemu gościowi.

— To prawda — utyliło się nieco od tego czasu — rzekł p. Ducroc z głośnym śmiechem. W czasach, kiedy grywałem z panem w bilard — wyglą-